

## CO SŁYCHAĆ, MARIANEK?



W dniu 20 lutego 1993 roku pod blokiem operacyjnym szpitala w Łądku Zdroju czekali w milczeniu dziennikarze, koledzy, kibice – z nadzieją na pomyślną wieści. Nikt nie dopuszczał do siebie najgorszego, kołatały się po głowie myśli, że przecież z równie strasznych wypadków ludzie wychodzili w miarę cało. Zaprzyjaźnieni dziennikarze grzali na

własnych ciałach krew potrzebną do transfuzji, zgłosiło się mnóstwo chętnych oddać Jemu ten drogocenny płyn ze swoich żył. O 17.00 skończyły się nadzieje, zamilkły modlitwy. Marian zmarł, opuścił nas wszystkich, jego najwspanialszych wielbicieli.

Stało się to na trasie odcinka specjalnego Orłowiec – Złoty Stok w czasie

9 Zimowego Rajdu Dolnośląskiego. Rajdu, który na dziewięć jego edycji siedem razy wygrywał Marian Bublewicz, którego trasę znał jak własne podwórko w Olsztynie.

Pokonując jego odcinki specjalne po raz ostatni wraz ze swym pilotem Ryszardem Żyszkowskim, jadąc Fordem Sierrą Cosworth 4X4 uderzyli w rosnące po lewej stronie pobocza drzewo. Samochód dosłownie owinął się wokół pnia, pilot z ciężkimi obrażeniami wyostał się przez rozbitą szybę, kierowca został ze wszystkich stron zakleszczony. Był przytomny, cały czas zdawał sobie sprawę, co się stało, spokojnie czekał na pomoc. Jak zwykle, pierwsi na miejscu byli zdesperowani kibice, próbowali ratować swojego ulubieńca, gotymi rękami odginali blachy i darli poszycie fotela. Profesjonalna pomoc przyszła po czterdziestu minutach, dużo za późno.

Już nigdy nie zobaczymy Go na żadnej trasie rajdowej, możemy tylko o Nim pamiętać, oglądać fotografie i kasety wideo.

Jakim był zawodnikiem, wiedzą wszyscy entuzjaści sportów samochodowych. 22 tytuły Mistrza Polski, wicemistrzostwo Europy w 1992 roku, wpis na listę kierowców priorytetowych FIA – to mówi samo za siebie.



Pochodzący z niezamożnej rodziny Marianek, aby zarobić na pierwszy w życiu pojazd, czyli WFM-kę, sprzedawał butelki i grywał na harmonii na różnych zabawach i weselach. Od 1968 roku załapał się do rajdów motocyklowych, później było Mistrzostwo Polski w motocrossie. Sporty motocyklowe zakończył się z chwilą potężnego wypadku. Obiecywał sobie, że już nigdy więcej i słowa dotrzymał. Nie było już motocykli, tylko cztery koła, od 1973 roku i rajdów okręgowych. W roku 1975 był już najlepszy w Polsce w klasie 1300. Od 1982 do końca startował w barwach firmy Marlboro, będącej jego sponsorem „strategicznym”. W swojej karierze dosiadał najprzeróżniejszych aut – od swojego Fiata 125p, poprzez Opla Kadeta, różne typy Polonezów, Mazdę 323 aż do Forda Sierry Cosworth 4x4, ostatniego auta w życiu. Jakim był człowiekiem?

Przede wszystkim, mimo wszelkich ku temu uprawnień, nie miał w sobie nic z gwiazdy, chimerycznej i niedostępnej. Wprost przeciwnie, do Mariana zawsze i wszędzie każdy mógł się dostać, nawet menele spod latarni klepali go po plecach i pytali „Co słychać, Marianek?” Jego serdeczny uśmiech i zadowolenie z życia nie było wytrenowaną pozą dla dziennikarzy, taki po prostu był na co dzień. Miał momenty gorszego samopoczucia, po szczególnie męczącym OS-ie na rajdzie, gdy zdejmował kask

i widać było, że chwilowo ma wszystkiego dość - dziennikarze i kibice taktownie dawali mu spokój. Po chwili relaksu, głębszego oddechu, kanapce i ciepłej herbacie znów był „nasz”, chętny do rozmów, uśmiechnięty, otwarty, szczęśliwy optymistą. Oto, co o Marianie powiedział Ryszard Żyszkowski, pilot i najbliższy przyjaciel:

„Przejeździłem z Mańkiem 10 lat, do samego końca. Między nami były układy bardziej rodzinne niż przyjacielskie. Z jego stratą nie mogę pogodzić się do dziś, jego śmierć była zupełnie niepotrzebna. Do ostatniej chwili wierzyłem, że da się go uratować, że to, co się stało, to tylko zły sen, że zaraz się obudzę i to będzie nieprawda. Bardzo żałuję, że go nie ma i cieszę się, że mogłem przy moim przyjacielu być do samego końca.”

Po tragicznym wypadku okoliczna ludność ścięła drzewo, na którym wszystko się zakończyło – i rajd i życie. Został tylko krzyż i zawsze świeże kwiaty od osieroconych kibiców. Została powołana

specjalna grupa Głównej Komisji Sportów Samochodowych, która orzekła, że w zaistniałym wypadku nie widzi winy organizatora, błąd leżał po stronie kierującego.

Pamiętamy go wszyscy. Dopóki w Polsce będą rozgrywane rajdy, nikt nie zajmie w niej miejsca Mariana Bublewicza, wielkiego sportowca i człowieka, który – już niestety – walczył z czasem na niebieskich OS-ach, niedostępnych dla naszych ziemskich oczu.

*Napisała: Joanna Kalinowska,  
dla której Bubel zawsze był  
i będzie wzorem sportowca i człowieka.*

